

Ojczyzna nasza ukochana
 w 35 roku cała krew zalana.

Nie dosyć, że Polskę na pół rozdarli,
 jeszcze nas biednych na Sybir w głębokie tajgi zostali.
 10 lutego będziemy pamiętali.

Przyszli żołnierze, gdyśmy jeszcze spali
 i nasze maleństwa, niewinne orleta na same usadzili
 na głównej stacji pas odwieźli.

O straszna chwilo! O straszna godzino!

Dręzcych bólów swoich nigdy nie zapomnimy.
 Sam o nich nie zapomnę w tej chwili,
 gdy nas w ciemne wagony jak trumny usadzili.

O! Żegnaj Polsko! Ojczyzno ty moja!

Żegnaj chato miła, któraś mnie karmiła!

Żegnajcie lasy i pola przejrzyste!

Żegnajcie! Odjeżdżamy już z ziemi ojczystej!

Cięty dmie polską ziemiąśmy jechali,
 choć my je tylko przez szpary żegnali,
 w dzień pierwszy sowiecka maszyna ryknęła
 i jakby sztyltem każdego przeszyła.

Mijają doby, tygodnie mijają;
 raz na dzień wody i chleba nam dają.

Mijamy Kaulkar i góry Uralu
 i tak jedziemy wciąż dalej i dalej.

Któregoś dnia znów stanęła maszyna
 i znów inny transport się zaczęło.
 Jedziemy autem, a potem sześcianami
 przez śnieżne tajgi opłami, lasami.

O smutne było nasza kawa² -
Gongoz wodę z chlebem dawali, co rano.
Dzieci zmarły, że sam spadają,
a na noclegach umarli zostają.

O! Polsko nasza - świąta!

Gdzie są twoje syny?! Gdzie twoje orłyta?!
Dzisiaj w sybirskie tajgi przyjechał.

Łzy ciębie, Polsko, bóżeiem jeszcze oglądali?

Sział nam zamknęli, lasy i drzewa.

Nawet ptaszynki nam nie zaśpiewa.

Dobrze ci się, gdzie zabrzęczy musilic,

głód i choroba strasznie nam dokucza.

Tyfus odkuty pośród nas się szerzy;

co dzień to więcej pod sosnami leży.

Choć przyroda wiosna, słonko pojaśniało,

lecz u nas wcale się pogreselato.

Tylko po lesie słychać głos płaczący;

- O Jezu w Ogroju młodziecy.

Polsko Królów! Zlituj się nad nami!

Nad Polskę chrystus i nad Polakami!

Powróć nas, powróć do ziemi ojczystej

Królowo Polskiej! Pamiętko Torczysta!

Tak pisał jeden ze współtowarzyszy Polaków, których los ruci?

za Ural w kopne, śmieine tajgi. Znalazłam ten wiersz w separyjnym

brata, a pomyślałam już niedługo wtedy, że niebezpiecznym było po-

siadanie takiego dokumentu - nauczyłam się go na pamięć.

Od tego czasu minęło prawie czterdzieści lat, a wiersz nadal nie

zmiął z mej pamięci. Nie znam jego autora, a szkoda...

Chciałabym, aby poszedł w zapomnienie, więc dlatego rozpar-

łam chętnie moją rękę od tych kilku zwrotek. To było to:

A nie-przyszedłam na świat, gdy rodzice zbliżali się już do czterdziestki
w rodzinie, gdzie jeden chłopak miał 15 lat, a drugi - 8. Była to
ponoć wielka radość - pojawienie się upragnionej córki - ^{lepiej} lewej
nie zamęcił nawet fakt trwającej już prawie 3 miesiące wojny.
Niestety w lutym 1940 r. wywieziono nas z wieloma innymi rodzinami
w Głęb Związku Radzieckiego. Do tej pory mieszkaliśmy we wsi
Koniów, pta Błocin Górne, pow. Dobromil. Ojciec pracował
w Bonyławiu jako palacz, gdzie po wielu latach męczącej
pracy wspólnie z dwoma innymi wydzierżawili ponoć jakiś szyb
naftowy. Matka, wychowana na wsi, tylko tam widziała swoje
miejsce. Ziemia - to było dla niej wszystko. Dwa razy dom
jej spalili Ukraińcy. Pobudowała trzeci, którego już nie
zdążyła wykończyć. Ojciec był bardzo aktywnym człowiekiem, a do
tego „pyskatym”, więc przylgnął do niego przydomek „komunistę”.
Dopiero po wywiezieniu okazało się już „na miejscu”, że jest
„burżujem”, „krućpójos” i aby natychmiast nie znaleźć się między
wieloma zakamkami musiał się ukrywać przed NKWD.
Z tamtych czasów zostały tylko wspomnienia mamy. Jedno z nich
dotyczące podróży „na Sybir”. Po którejś przesiadce z przesiadki
na auto, później na samie ulitowano się nad kobietę trzy-
mającą przy piersi dwa i pół miesięczne dziecko. Załadowano
je obie do soferki jakiejś ciężarówki, aby było ciepło i sucho.
Tymczasem kierowca zgubił się na trasie w nieprzebytym lesie
i ogromnym śniegu. Przez 3 dni i 3 noce matka suszyła
pietuchy kolo swojego ciała i wpychała rozwrzeszczanemu
zawiniętkowi wysychającą pierś kierowca, choć był Rosjaninem
przydzielonym do polskiego taboru, okazał się człowiekiem.
Rozumiał ból matki. Sam przez te dni nie jadł prawie
i nie pił, całe swoje ramię oddając karmiącej kobiecie.
A kiedy brakło nadziei na uratowanie się, matka

rozwinęła beczki ze słowami: „Jak mijs Boie dalej, tak je sobie
zabier, bo ju ni nie poradę”. Szybcej jednak jencze zawi-
nęła tulce do wyschniętej pierśi i okładała się, że uszczęśliwie, bo
akurat czwartego dnia odnalezione nas. Z całej naszej
trójki ponoć najbardziej potrzebował pomocy kierowca.
Stamtąd zamieszono nas i zakwaterowano w ogromnych
barakach, po kilka wózków w jednym. Wszyscy zdolni do pracy
odtąd każdy dzień spędzali przy pracy w lesie. W barakach pozostawali
jedynie chorzy, niedożywieni i matki z dziećmi. Wtedy to okropnie
zachorowałam. Za przany uchem unosiła mi „boleśnica” (tak je
nazwali w naszym obozie) ogromna, jak druga głowa. Dni i noce stawałam
cały barak na nogach szym wraskiem. Dziecko już miało pretensje
do mojej mamy, że nie „uczyni nic”, żeby wreszcie był spokój; lecz
preciesnie - ratuje mnie jak moje przepłacające miód, masło, jajka
i marmurę to wyszło na obłady. A wreszcie którejś nocy nasta-
ła upragniona cisza. Przemęczona mama usnęła. Wywana
przez swój podświadomość że snu-budzi się, a tu cicho; słucha-
nie. Puka do sąsiadki z górnego zrytko zawiadamiając ją z przerażeniem,
że ja umarłam. Lubił się rzech w baraku i wtedy okładała się,
że ja po prostu byłam skazana w ropie, jakie wyprygnęła
boleśnicy i uszczęśliwiona - spałam w najlepsze.
Mama miała opowiadać później, że z całego transportu
byłam najmłodsza, a ja jedna z maluchów byłam.
Tak chciało mi się użyć świata. Mama umiała sobie za-
robić. Nabierała z domu różności: - teraz handlowała, było
tylko było mleko, masło, jajka i miód dla mnie. Ojciec ze
starszym moim bratem chodzili do pracy do lasu, młodszy
pomagał mamie i zbijał brzojsi. Wszyscy otzymywali przy-
warane ogólnie nasze żywnościowe, mama dokonywała
i nie było źle. Do czasu...
Właśnie wylunęło „buręństwo” mojego oca, życzliwi jednak